

Warszawa dnia 12 Kwietnia 1865 roku.

Nr 15. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

Zmartwychwstanie Pańskie.—(str. 115, szp. 1).—(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

WIELKI TYDZIEŃ.

Siedm dni przed Zmartwychwstaniem Pańskiem, dla tego nazywamy Wielkim Tygodniem, że kościół w tym czasie, obchodzi pamiątkę wielkich tajemnic, ustanowionych i dokonanych przez samego Chrystusa. Żadne pewno święta w roku nie budzą w nas takich uczuć i tkliwych wspomnień, jak święta Wielkanocne. Tu człowiek zarówno z kościołem smuci się nad męką niewinnego i raduje się Jego zmartwychwstaniem; a jeżliś tylko spokojny z sumieniem, to zdaje ci się, żeś i ty odżył, odmłodniał, żeś powstał nowym człowiekiem. Wszystko to wpływa na nasze serce, aby je poruszyć, podnieść rozrzewnić i rozweselić, obudzić ze snu, często twardego i przez to ukazać nam nasz cel—niebo. Przybrana w godowe szaty natura, rozwija się niby różany pączek i owiewa do koła swym fijołkowym zapachem; ptastwo i bydełko raduje się przeczuciem dnia wesołego, a kapłani w świątyniach Pańskich, modlitwą, śpiewem i obrzędami wzniosłemi, kogóżby nie poruszyli?

Obrzędy i ceremonje w religji, są tak dawne jak człowiek, są koniecznemi i wypływają z saméj natury rzeczy. Kiedy w stosunku do innych ludzi, używamy różnych zewnętrznych oznak uszanowania, byłoby więc wielkiem z naszéj strony zuchwalstwem, obchodzić się z Bogiem, jak z równym sobie. Owszem, każdy poczciwy i religijny człowiek bez tych obrzędów i ceremonji obejść się nie może. Mieli je żydzi i mają do dziś dnia jeszcze niektóre, mają je poganie i żadna religja bez nich obejść się nie może, bo one są mową naszéj duszy i serca, są czcią niewinną Stwórcy od stworzenia.

Kościół święty, dobrze znając naturę człowieka, odpowiednie do jego pojęć i uczuć, przepisał obrzędy i ceremonje, ażeby temi zewnętrznemi oznakami, pobudzić stronę naszą wewnętrzną, to jest: duszę ku Bogu. W Wielkiem Tygodniu, cztery ostatnie dni najwięcéj mają w sobie rzeczonych pamiątek i obchodów, których symboliczne znaczenie, obojętnem nam być nie powinno; a zatem, nie od rzeczy będzie przytoczyć tu niektóre:

W Wielką Środę, Czwartek i Piątek po południu, odprawia się w kościołach nabożeństwo zwane Ciemną Jutrznią; na którą zapala się 6 świec na ołtarzu, a 15 lub mniéj na trójkącie stojącym z boku. Stopniowo po prześpiewaniu każdego psalmu, gasi się jedna świeca, a to na pamiątkę, iż męka Zbawiciela Pana stopniami się też powiększała. Jest to zabytek bardzo dawny, jeszcze z pierwszych wieków; bo w tamtych czasach jutrznie odmawiano w nocy, i ztąd liczniejszego potrzebowano światła. Ku dniowi zaś częściowo gaszono światło, im bardziéj się rozwidniało. Uderzenie przez celebrującego książką lub ręką w ławkę, oznaczało koniec nabożeństwa. I dziś to się jeszcze praktykuje, z dodatkiem, ze za celebrującym wszyscy obecni duchowni, robią chwilowy łoskot, aby przez to okazać hałas i wrzask, z jakim Jezusa pojmano i strach który ogarnął Apostołów. U nas dawniéj chłopcy podczas Ciemnéj Jutrzni czatowali już na ten łoskot, i za danym znakiem wypuszczali kota z garnka napełnionego popiołem, który przerażony uciekał jak wściekły przy wielkich śmiechach i krzyku. Zwyczaj ten naganny, ustał z końcem zeszłego wieku.

W Wielki Czwartek obchodzi się pamiątka ostatniéj wieczerzy Chrystusa Pana i ustanowienia Najświętszego Sakramentu. W dawnych wiekach biskup w tym dniu trzy msze odprawiał. Podczas mszy uroczystéj na *Gloria*, odzywają się wszystkie dzwony, na znak kończącego się wesela. Odtąd dzwony już milczą, organy ustają, wszystko smutną przybiera postać, grzechotki i klekotki zwołują lud wierny do kościoła, jak w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa [1]. W końcu mszy odbywa się komunja kapłanów i ludu, a potem z processją i z największą uroczystością, przenosi się Najświętszy Sakrament do przybranéj ponuro piwnicy, na uczczenie P. Jezusa, iż téj nocy był do więzienia wtrącony i okropnie zelżony. Nareszcie odbywa się obnażanie ołtarzy, na pamiątkę obdarcia z szat Chrystusa. To nam przypomina jeszcze te czasy, w których przy każdem nabożeństwie musiano ołtarz ubierać na nowo. Następuje obmycie nóg dwunastu ubogim, w czasie którym chór śpiewa: „przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali, jakom was umiłował” mówi Pan. Wybierają do tego to starcy już osiwiali, porządnego prowadzenia się, otrzymują nowe odzienie i zasiadają w środku kościoła na przysposobionych im ławkach. Przed nimi w balji woda, w któréj celebrujący biskup lub kapłan macza miotełkę z liści i tem obmywa obnażone staruszkom nogi; potem klęka przed niemi, obciera je ręcznikiem i obmyte całuje. Rzewny i nauczający przykład pokory! Dawniéj nawet królowie dopełniali tego obrządku. Starcy ci wyobrażają dwunastu apostołów, a kapłan lub biskup—Chrystusa umywającego nogi przy ostatniéj wieczerzy. Niedość na tem; bierze ich się potem do suto zastawionéj wieczerzy, najpoważniejsze osoby służą im do stołu i obdarzają pieniężnym datkiem; w Warszawie można się temu przypatrzyć w kościele S-go Jana i S-go Krzyża. Po kościołach katedralnych w tymże dniu, biskup poświęca oliwę do Chrztu, Bierzmowania, Kapłaństwa i Ostatniego Namaszczenia.

W Wielki Piątek obchodzi się pamiątka męki i śmierci Zbawiciela. Mszy w tym dniu nie ma, tylko liturgja. Przed rozpoczęciem nabożeństwa, kapłan leży krzyżem, na pamiątkę upadania Jezusa w ogrodzie oliwnym. Przybrany w czarne aparaty modli się potem za wszystkich, za niewiernych a nawet za pogan. W niektórych kościołach podczas adoracji krzyża, kapłani w tym dniu zdejmują obuwie i dopiero na klęczkach idą całować rany Chrystusa; chór zaś śpiewa te tkliwe słowa; „Ludu mój, cóż ci uczyniłem? albo w czem zasmuciłem cię? powiedz mi, wyprowadziłem cię z niewoli, uczyniłem cię nadobną winnicą moją” i t. d. Po liturgji odnosi się do grobu z processją Najświętszy Sakrament, gdzie spoczywa przez Piątek i Sobotę, aż do rezurekcji, wystawiony dla uczczenia Go przez wiernych. Strojenie jak najwspanialéj grobu Chrystusa, właściwie u nas tylko ma miejsce, i sięga XV wieku. Dawniéj uczniowie w szkołach jezuickich, przedstawiali w kościele sceny z życia i męki Pana Jezusa, to jest: jeden przebierał się za Judasza, drugi za Chrystusa, inni za apostołów, za żydów, i dopiero każdy udawał tę osobę, którą przedstawiał. Po zniesieniu Jezuitów, zwyczaj ten ustał.

---

[1]) Pierwsi Chrześcijanie zwoływali się do Świątyni, albo przez posłańców albo przez uderzanie w deskę, albo przez trąbienie. Dzwony mają być wynalezione w Kampanji we Włoszech, a ich użycie miał rozpowszechnić S. Paulin biskup Nolański w wieku V.

W *Wielką Sobotę* nabożeństwo dobrze maluje bojaźń i trwogę apostołów po śmierci mistrza. Rano odbywa się święcenie ognia. Jeszcze przed IV wiekiem znajdujemy ślady, że ogień codziennie do kościoła używany, błogosławiono. Za wprowadzeniem lamp nieustannie się palących, zwyczaj ten codzienny ustał i dziś powtarza się tylko w Wielką Sobotę. Święci się także *Paschał* czyli gruba woskowa świeca, a w dawnych czasach na takiéj z wosku kolumnie, wypisywano porządek nabożeństwa od Wielkiéj nocy, na cały rok; dziś Paschał oznacza Chrystusa zmartwychpowstałego. Prócz tego święci się jeszcze woda do Chrztu i dla pobożnego użytku wiernych, którzy ją z sobą roznoszą po domach. Potem wychodzi uroczysta msza, a podczas *Gloria* odzywają się znów wszystkie dzwony, na znak przybliżającéj się radości Zmartwychwstania [1]). Przed Ewangelją kapłan trzy razy śpiewa Alleluja, co znaczy: Chwała Panu, a wierni nawzajem winszują sobie téj radosnéj nowiny.

Po południu chodzą kapłani po domach święcić zastawione na jutro stoły z mięsiwami, ciastami, jajami i barankiem. Najuboższa chatka nie obejdzie się bez święconego; choćby suchy chleb, funt mięsa i jajko, przybiera biedactwo w zielone borówki i z pragnieniem oczekuje przyjścia kapłana. Pobożny to zwyczaj, przez który wyznajemy, że pokarmy Boskim są darem, i że nie jak zwierzęta, nie z łakomstwa je pożywamy, lecz z potrzeby, dla zachowania życia na chwałę Boga.

Ileż to jest jednak takich biedaków, co Bóg widzi, nie mają za co w tym dniu kupić sobie ni chleba ni soli. Co to za bolesny widok dla kapłana, gdy przyjdzie z salonu, gdzie uginają się stoły pod półmiskami, do ciemnéj na strychu alkowy. Nie ma tam nic... głód i nędza wieje z każdego kąta; żałosne i rozpłakane dzieciny, tulą się do smutnego ojca lub matki.... I my pozwalamy na to?...

PSZCZÓŁKA ZALOTNA,

GADKA LUDOWA.

I.

Choć nie kochają pszczółki nic na świecie,
Nic oprócz kwiatów, nad łąki kobiercem,
Jedna się przecież urodziła z sercem,
Co się z nią stało—słuchajcie gdy chcecie:

Roją się pszczoły ochoczo i gwarno,
W ulu wesoło, jak w zgodnéj rodzinie,
W białe komórki miód lipcowy płynie;
Jedne przez drugie, do pracy się garną.
A co za szczebiot, co tam za muzyka!
Aż ucho głaszcze i do roju nęci.
Ul, jak instrument, co go mistrz nakręci,
Gra podle chaty ojca pasiecznika.
Słońce wysoko, a pszczółki wciąż w ulu:
Będzie pogoda, kwiaty pełne miodów;
Wszystkie więc śpieszą do łąk, pól, ogrodów;
„O! będą zbiory bogate matulu.”
Tak brzęknie pszczółka skrzętna, pracowita,
Do pani matki, co panuje w roju,
A patrząc pracy, zgody i pokoju,
Powracające z pól córeczki wita.
Brzęknąwszy, w pole frunęła nad niwą,
Na kwiatku lipy swobodnie usiada,
To nuci sobie, to miodu przykłada;
W tem się odwróci, a toż co za dziwo?
„Brm... brm... dzień dobry!” wrzaśnie jéj nad uszkiem,
Bąk z szumną miną wpadłszy między kwiaty,
„Ha, miód zbieracie, jaki zbiór zakaty,
Co w miesiąc zbierzesz, ja wypiłbym duszkiem.
Żal mi cię biedna, na nic twoje trudy,
Wracasz do ula, by pracować szczerze,
A miód najlepszy człowiek ci podbierze,
Za tyle starań, lepienia i nudy!”—
Kiedy tak burczy i miód z kwiatów zjada,
Bardzo się pszczółce podobał z postaci,
Chciwie go słucha, ni słówka nie straci,
A ten grzecznego udaje sąsiada,
To jéj miód z kwiatka przyniesie i poda,
To się zaleca szeptając na uszko,
I tak zamącił, pszczółeczce serduszko,
Że go już kocha, ot jak pszczółka młoda!
Bo myśli sobie: „kawaler wspaniały,
A jaki wielki, co mieć musi miodu!
Mówi, że pałac ma pośród ogrodu,
Z woniejącego wosku czysty, biały.
Z słowa do słowa, do tego dochodzi,
Że już o rychłem prawią coś pobraniu,
I dali sobie schadzkę o zaraniu,
Ot wszystko prędko, bo oboje młodzi.
Tak dzień im przeszedł, czas wracać do domu,
Ale z czem wracać? Po raz pierwszy pszczółka,
Z trwogą się zbliża, do siostrzyc swych kółka,
Pierwszy raz wchodzi do dom pokryjomu.

II.

Nie próżno w ulu pani matka siedzi,
Dojrzała zaraz opieszałość córki,
Więc ją z woskowéj przyzywa komórki,
I tak jéj mówi po szczeréj spowiedzi:
„Cóż ci to przyszło do szalonéj głowy;
On taki straszny, wielki i nieznany,
Przylgnął do ciebie, jak miodek z tyzany,
By cię porzucił burda nałogowy.
Nie dbaj na słowa, bo gdy bąk, co burczy,
Na słodką nutę nastroi głos gruby,
Pewno to czyni dla skrytéj rachuby,
Wierz mi, że darmo paszczęki nie skurczy.”
Pszczółka to słucha, cierpliwa i cicha,
A w sercu marzy, o wspaniałym bąku;
Nazajutrz znowu, przy wschodzącem słonku,
U kwiatowego czeka nań kielicha.
I znów gruchali, szczęśni na swobodzie,
I uraili na jesień wesele,
I tak na przyszłość nagadali wiele,
Że zapomniała znów pszczółka o miodzie.
Tu pani matka skarze ją surowo:
„Za trzy dni, jutro przyniesiesz mi miodu,
Choćbyś umarła i z pracy i z głodu;
Albo precz z ula, albo rządź się głową!”
Przyszedł dzień straszny—pszczółka bąka czeka:
„On mnie wybawi, on mi dopomoże,
Do swego miodu, od niego dołożę.”
Więc gdy go ujrzy płacze i wyrzeka:
„Dobrze, pomogę, lecz pobujaj ze mną;
Pszczółka się zgadza, wraca aż wieczorem,
Z ciężkim, bo suto napełnionym worem.
„Ha, kara przecie nie była daremną!”
Tak rzecze matka i córkę pochwali,
Lecz czemuż córka, jakby łezki roni,
I główkę spuszcza i od siostrzyc stroni?
Wszak jeden tylko dzionek pobujali!

III.

Smutno—pogarda, ściga pszczółkę biedną,
Więc choć do pracy, bierze się pocichu,
Gorzkną jéj miody w kwiatowym kielichu,
Łąki ją straszą i niebiosa bledną.
A tu rój dzwoni, przed jesienią śpieszy;
Nadejdą słoty i posępne ranki,
Ul się zasklepi, a smutnéj kochanki,
Żadna ze siostrzyc, w biedzie nie pocieszy.
„Ach! jak możecie, wy dziwne, wy chłodne,
Szydzić, że kocham, że mi bąk mój luby?
Czyż serc nie macie, czy wam obce śluby,
Obce miłości szeptanie łagodne?
Pójdę, porzucę tę przepaść, gdzie tylko
Złość lub wymówka, jak w piekle mię dręczy,
W oczach lubego jasno mi jak w tęczy,

---

[1]) Jest zwyczaj po wsiach i miasteczkach, iż w Wielki Czwartek i Sobotę, kiedy uderzą w dzwony na Gloria, w każdym domu należy w tym czasie klamką u drzwi robić hałas i łoskot, aby się myszy poprzelękały i pouciekały. Jest to nierozsądny zabobon, a tym sposobem gdybyśmy myszy wyganiali, nie używając innego, nigdybyśmy się ich nie pozbyli.

Pójdę do niego—witaj szczęścia chwilko!
Nie wiem, czy wrócę—nie wrócę—niech zginę...”
Tak duma pszczółka i skrzydełkiem młodem,
Puszcza się w lazur, kędy za ogrodem,
Znaleźć ma pałac, lubego dziedzinę.
Ale pałacu nie widać w ogrodzie,
Próżno go szuka i kręci się w kółko;
W tem sam bąk pyszny furknął, ponad pszczółką,
Teskną i zmarzłą na porannym chłodzie.
Był to ostatni jaśniejszy dzień lata,
Więc bąk się spieszył do ukrytéj (nory,
Gdzie miał mieszkanie i miodowe (wory;
Wpadł tam, wnet za nim i pszczółka przylata.
Weszła w szczelinę — smutno, (brudno, ciemno,
Lecz idzie ciągle, tam ją czeka (luby!
A w tem się z wnętrza odezwie (głos gruby:
„Kto tam?!” „Ja, pszczółka, szukam cię daremno.”
„Czegóż mię szukać, nie znam (pszczółki żadnéj,
Idź precz, bo zima czeka już na (dworze!”
Tak burczał głośno bąk w swojéj komorze.
A pszczółka na to: „O! bączku (mój ładny,
Czyś mię nie poznał, czyś zapomniał chwile,
Kiedym dla ciebie odbiegała ula,
Kiedy mnie srodze karała-matula
A tyś mnie cieszył, obiecywał tyle!”
„Głupi, kto pustéj obietnicy słucha;”
Tak bąk się ozwał i gniewny siarczyście,
Schował się cały w ciepły puch i liście;
Daremnie pszczółka do lubego grucha.
Rzuca z przekleństwem okrutnego bąka,
Wraca nad pole, na polu nikogo;
„Cóż się to stało!” krzyknie biedna z trwogą:
„Puste niebiosa, pusta śliczna łąka!”
Chłodno—przemarzła, leci, ledwie dyszy;
Jeszcze do ula pociąga ją serce,
Jeszcze coś roi w złudzenia iskierce;
Lecz cóż za powód, takiéj strasznéj (ciszy?
Ul już zamknięty!.. spojrzy nieszczęśliwa,
Do pnia zimnego lgnie jak do ogniska,
Lecz darmo piersi mdlejące przyciska;
Ul się nie rozwarł—upadła nieżywa.



Dzień dobry wrzaśnie jéj nad uszkiem.—(str. 115, szp. 2).
(Rysował Kostrzewski — wyciął na drzewie Krzyżanowski).

JAKI PAN TAKI KRAM.

(*Ciąg dal.*—Ob. Nr. 13 i 14).

Kiedy to się dzieje, z sąsiedniego ogrodu, z altanki, wyszedł mężczyzna z twarzą promieniejącą radością, i zacierając ręce szedł spiesznie ku drodze. Był to miejscowy oficjalista, niby dozorca pałacu, troszkę konserwator bibljoteki, a najwięcéj opiekun psiarni i kwiatków jasnéj dziedziczki, którego inni oficjaliści, głośno tytułowali asystentem, a pocichu szpiegiem. Było w tem wiele prawdy, ale nieszczęśliwy asystent, znając, że ręka rękę myje, a noga nogę wspiera, jeżeli starał się o łaskę pańską, więcéj dbał o innych oficjalistów, wiedząc, że podtrzymywany przez nich utrzyma się przy chlebie, jak przy protekcji samego dziedzica. Żył więc ze wszystkiemi w najlepszéj zgodzie, dopóty ma się rozumieć, dopóki harmonja ta, jakim wypadkiem popsutą nie została. Wtenczas łączył się z partją silniejszą, przeciwnika tratował całą potęgą swego wpływu, bił, walczył, skarżył, obmawiał, do upokorzenia go lub wygnania, żeby jaszczurka co ośmieliła się zakłócić utrwalony porządek, nie wyrosła z czasem na krokodyla, i nie pożarła wszystkich, zaczynając od niego. Obdarzony węchem dworskim, jak najlepszy ogar albo wyżeł, umiał z ruchu, oczów, brwi i czoła hrabiego, czytać myśli jak z książki, i do nich stosować całe swe postępowanie, bez względu, czy to szkodę czy korzyść mu przynosi. Umiał pochlebiać, ulegać słabostkom, smucić się, radować, płakać, pocieszać, rozweselać, karmić ploteczkami, skandalikami, nie zapominając nigdy, że cały zastęp oficjalistów i służby dworskiéj, jest potęgą otwierającą spichlerz i kassę dworską, a dziedzic chorągiewką, obracającą się w stronie wiatru, jaki od niéj powieje. Szpiegował więc i donosił, ale tylko to, co się nie sprzeciwiało sprawie ogólnéj; na inne w których coś oblizał albo ukąsił, zamykał oczy, lub zatykał uszy, milczał lub przekręcał, a chociaż bacząc przedewszystkiem na siebie, zarówno nienawidził kolegów, jak był od nich niecierpiany, jednak żył z niemi w jak najlepszéj przyjaźni. Przyjaźń ta przecie była tajemnicą, przed dziedzicem zmieniała się rola i pan asystent z oficjalistami i dworusami na oko żarł się z największą zajadłością, ale z takim rozumem i ostrożnością, że to im wzajemnie żadnéj nie przynosiło szkody, a dziedzic bawił się, śmiał się nieraz do rozpuku i zacierał ręce z radości, że urządzeniem takich stosunków całéj służby, zabezpieczał się od szkody i kradzieży. Służba jednak lepiéj się śmiała z jasnego dziedzica, wprawdzie cichaczem, ale za to głośno trzeszczał las, kassa, magazyny i spichlerze całych dóbr Suszyńskich.



Ul się nie rozwarł — upadła nieżywa.— (str. 116, szp. 1).
(Rysował Kostrzewski—wyciął na drzewie M. O).

Hilary był nową figurą, dziwnym zbiegiem okoliczności wprowadzoną przez samego kamerdynera, z pominięciem całego zastępu służbowego. Lękano się więc nowéj partji, która licząc już dwóch członków, mogła stać się niebezpieczną. Kamerdyner był za silny łaską pańską, aby go można było pokonać; niechęć więc wszystkich obróciła się na Hilarego, i postanowiono albo go wypędzić, albo przyciągnąć do siebie. Szczególniéj na tem zależało asystentowi, pragnącemu kamerdynera jako współzawodnika, utopić już nie w łyżce, ale nawet w kropelce wody.

Przypadkiem więc dopatrzywszy Benedykta, skradającego się przez łąki, już go oczami nie opuścił, i śledząc ciągle z największą pilnością, był świadkiem całéj sceny, która się skończyła zaprowadzeniem go do pomieszkania Hilarego.

— „Panie komisarzu dobr:”—odezwał się wpadając do rządcy, jak syczący szmermel ogniem i dymem— „jak rany Boskie kocham, skandal!—skandal!— Suszyn nasz niedługo przemieni się w Sodomę.”

— „Cóż to stało się takiego?”— zapytał rządca, zadzierając nosa, jak zwykle robił to przy niższych od siebie.

— „Skandal powiadam. Benedykta zeszedł w ogrodzie Hilary, na schadzce z panną Zofją......”

— „Benedykta?— tego niuńkę?”— zapytała pani rządczyni— „czy ci się troi panie asystencie?”

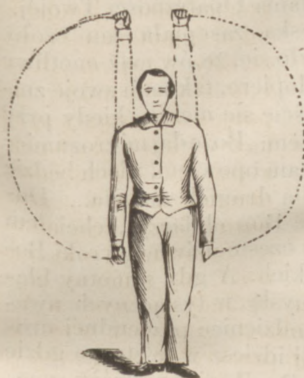
na chęć przywłaszczenia Benedykta, poruszyło gniewem rządczynią, jak zranioną lwicę. Wyskoczyła więc na środek pokoju, i wstrząsając pięścią, zawołała w największem uniesieniu.

— „Mężu! Hilarego trzeba wypędzić!—ja matka, mam córkę, nie mogę cierpieć, aby pod naszym bokiem, podobne odprawiały się skandale. Co świat powie?—niesława jednéj przybłędy, dotknie wszystkie nasze panny.”

Rządca sapiąc, tylko mruknął, a asystent chcąc i w nim równy gniew poburzyć, rzekł z miluchnym uśmieszkiem:

— „Jak rany Boskie kocham, dla moralności całego naszego skarbu, wypędzenie najlepszym środkiem; ale czy pozwoli na to kamerdyner?”

— „A cóż to do niego należy?”—zawołał wybuchając rządca— „cóż to ja nic tu nie znaczę? Niech


10, 20, 30.


6, 10, 16.


30, 40, 50.


8, 12, 16.


8, 12, 16.


8, 20, 30.


12, 16, 24.


6, 10, 16.


4, 8, 12.


10, 20, 30.


8, 12, 20.

— „Jak rany Boskie kocham — sam widziałem. Jak zobaczyli Hilarego, zaczęli uciekać, ale ten dogonił Benedykta bez tużurka i kamizelki......”

— „Bez tużurka i kamizelki!”— przerwała ze zgrozą rządczyni— „a oni co tam robili?”

Asystent uśmiechnął się złośliwie i dodał:

— „Ale nie uszło mu to na sucho; Hilary dogonił i byłby go porządnie kijem wychrobotał, lecz Benedykt padł na kolana, zaczął prosić, i potem Hilary przybrał go w zostawione na murawie rzeczy, i zmusił do udania się razem do pomieszkania.”

— „Czy to być może?”

— „Jak rany Boskie kocham, tak nie kłamię, patrzałem na wszystko własnemi oczami.”

— „Ciekawam teraz, jak się to skończy.”

— „Zapewne weselem pani dobr: jak rany Boskie kocham.”

Cios był dobrze obmyślany; rzucone podejrzenie

on pilnuje butów i szczotek, a do mnie się nie miesza, bo jak Boga kocham, wysadzę go ze służby i przegnam, gdzie pieprz nie rośnie.”

— „Ja mu to zawsze przepowiadam, jak kocham rany Boskie, bo co pan komisarz, to nie on pucybut i lizitalerz.” I rzekłszy to asystent, smyrgnął do kasjera, do magazyniera; potem zawadził o gorzelanego, pisarza, a zakończył na gospodyni zaciekłéj nieprzyjaciołce kamerdynera, wszędzie dzieląc się ploteczką, która padając na niezmiernie żyzną rolę, w dni parę urosła w takiego dziwoląga, że nawet sam asystent zdumiał się, nie mogąc jéj poznać.

(Dok. nast.)

GIMNASTYKA DOMOWA.

Ileż to cierpień w ciągu życia ziemskiego, wali się na kruchą i wątłą budowę naszą! a większa z nich liczba, tylko trapi z nieświadomości przepisów szanowa-

nia swego zdrowia, z nawyknień szkodliwych, lub też i z jego zatrudnień; otóż powołaniem człowieka nauki, jest nietylko leczyć już powstałe choroby, jako raczéj oddalać, zapobiegać szkodliwym wpływom narażającym zdrowie nasze, aby tym sposobem uprzyjemnić te kilka chwil w przebiegu życia naszego. Ileż to szczęścia doznaje osoba, jeżeli zdrowa siądzie do pracy, a po kilkogodzinnym zajęciu, otoczona również zdrową rodziną, spożywa z apetytem kęs, wesoło i smacznie, przez małżonkę sporządzony, i przysposabia się nazajutrz po śnie ożywczym, do dalszéj a najczęściéj mozolnej i jednostajnéj pracy.

Zatrudnienia więc takie, które wymagając małego ruchu i jednostajnego tem samem nachylenia, to jest: zgięcia ciała, jak np. przy igiełce, kopycie, przy biurku, przysposabiają zwolna do chorób, które, gdyby nie ruch konieczny, lub też ćwiczenie ciała sztuczne, a za mało u nas jeszcze rozpowszechnione, stałyby się jeszcze i częstszemi i wcześniejszemi towarzyszkami.

Dla tych więc rękodzielników, którzy w pracowniach na stołku, w zadusznem wilgotnem i zimnem powietrzu, pędzą większą część żywota swego, piszę te kilka słów, aby słuchając doświadczeńszego, mogli się przejąć radą daną im ze szczerego serca, od ich przyjaciela lekarza.

Gimnastyką nazywamy każdy ruch umiarkowany podjęty w ciągu dnia; tak więc spacery na swieżem powietrzu, pieszo lub bryczką, gra w bilard, w kręgle, w piłkę, skakanie, pływanie, śpiewanie, są to ćwiczenia ciała, zwane fizycznemi, które nam instynkt zachowawczy doradza, byleby one były użyte w mierze, bez wysilenia, znużenia, i li z przyjemności, jakby z konieczności naszego ciała wypływały. O takich ćwiczeniach, jako wymagających oderwania się od tak drogiego dla nas czasu, pomówię w innem miejscu, w niniejszem wspomnę tylko i objaśnię o takich ruchach, które służą zdrowiu, mocy dodają i wymagają tylko chwilowego, od zatrudnień dziennych oderwania się. Bez ruchu umiarkowanego ciała, człowiek szczupleje, apetyt mu się zmniejsza, siły opadają, władze nawet umysłowe tępieją, i dla tego też radzę tym szczególniéj, co całe dnie przepędzają przy stoliku, warsztacie, przy biurku, aby ile ich możności, połowę ciała na wpół zgiętą, skurczoną, głowę nachyloną, z piersiami w tył wklęsłemi, nogami skórczonemi, aby mówię przypatrywali się postawom ciała tutaj narysowanym, i te części ciała, które były wgniecione, nieruchome, jakby w odrętwieniu, starali się po kilka razy na dzień przez kilka chwil je wyciągać, w ruch wprowadzać; a po takiem umiarkowanem i do sił swoich zastosowanem ćwiczeniu, praca im lepiéj pójdzie i zdrowie na dłuższe lata zabezpieczonem będzie. [1])

Za przykład, dam wam moi przyjaciele takich ludzi, których zatrudnienie codzienne wymaga, znacznego sił fizycznych wytężenia, jak np. kowali, rzeźników, majtków, żołnierzy, którzy jeśli przytem mają dostateczne pożywienie, a oddychają świeżem powietrzem, obfitują w siły fizyczne znacznie więcéj, niż ludzie siedzący przy stoliku, a zaniedbujący ćwiczeń ciała. Ci ostatni, jeżeli się dobrze żywią, nabywają wprawdzie dobréj tuszy i tak zwanego dobrego wejrzenia, lecz siły ich fizyczne są o wiele słabsze niż u tamtych, a o rozlicznych cierpieniach i nieraz bardzo dolegliwych, które brak ćwiczeń fizycznych u nich powoduje, nie chcę nic mówić, bo oni sami dobrze o nich wiedzą.

NIEZBADANE WYROKI BOGA.

Przed wielu laty, nie pamiętam już kiedy? i gdzie? żył mąż sprawiedliwy w biednéj okolicy. Surowy dla siebie, wyrozumiały dla drugich, szczęśliwy jeśli komu mógł co dobrego uczynić, a wszędzie i zawsze miłym był gościem. Uważano jednak, że kiedy się modlił, głośno powtarzał te słowa: „Boże daj mi zrozumieć skryte działania Opatrzności Twojéj.” A wtedy niezwykła troska zasępiała mu czoło, chmurzyła oblicze. Zdarzyło się, że ów mąż cnotliwy zniknął. Po kilku dniach dopiero, tak nam swoje zniknienie wyjaśnił: Dziwiliście się nieraz, kiedy przy modlitwie często powtarzałem: „Boże daj mi zrozumieć wyroki Twoje.” Otóż co wam opowiem, niech będzie dla jednych przestrogą, dla drugich zachętą... Dumny rozumem, jakim mnie Bóg obdarzył, chciałem jeszcze zbadać niepojęte, a często dziwne wyroki Boga, względem losów ludzkich. A gdy samotny błądząc po lesie, tonąłem myślą w tysiącznych uwagach, nagle zjawia się młodzieniec przecudnéj urody i tak przemawia: „Jeźli idziesz w tę stronę gdzie ja, mogę ci towarzyszyć.” Po długiéj podróży, zmęczeni wchodzimy na odpoczynek do pewnego dworu, którego właściciel przyjął nas z całą serdecznością. Towarzysz mój, który mi wprzód już zalecił, abym się niczemu nie dziwił, co on będzie robił, jakby na podziękowanie temu, który nas tak gościnnie podejmował, wziął potajemnie szczero-złoty kielich. Wierny danemu słowu, ścisnąłem tylko usta i milczałem. Nazajutrz, równie jak wczoraj, strudzeni, przybyliśmy do pewnego pana, który nas nietylko że niczem nie posilił, ale nawet precz iść kazał. Mój towarzysz, w nagrodę za takie przyjęcie, ofiarował temu skąpcowi ów kielich złoty. Oburzony, już miałem wybuchnąć gniewem, kiedy przypomniawszy sobie dane słowo, zamilkłem. Nareszcie wypadło nam spocząć u pewnego starca, który nas z równą gościnnością co pierwszy nakarmiwszy, nocleg ofiarował i przewodnika, do najbliższéj wioski dodał. Tego, gdyśmy przechodzili most na wielkiéj rzece zbudowany, towarzysz mój chwycił za gardło i wrzucił w wodę. „Co czynisz niewdzięczny krzyknąłem, także to płacisz za tyle dobrego.” „Milcz, zarozumialcze zawołał, jestem zesłaniec nieba! aby cię nauczyć, jak niepojęte są wyroki Opatrzności Boskiéj — milcz i słuchaj: Pierwszemu, który nas tak gościnnie przyjął, wziąłem ów kielich złoty, aby nie pijąc z niego tak często, lepiéj pilnował obowiązków pana — ojca — obywatela. W przeciwnym bo-

---

[1]) Ograniczamy się w tem miejscu, na przedstawieniu wszystkich ruchów dążących do rozwinięcia klatki piersiowéj, i do udzielenia płucom siły. Tych ruchów jest dwanaście, tojest: jedenaście tu przedstawionych na rysunku, wykonywanych rękoma i tołuwiem; dwunastego zaś przedstawiać nie potrzebowaliśmy, bo się tylko zasadza na bardzo głębokiem oddychaniu. Liczby pod wizerunkami oznaczają, ile razy ruchy, kropkami wyobrażone na rysunku mają się wykonywać, przez pierwsze trzy tygodnie, ile przez drugie trzy tygodnie, a ile podczas ostatnich trzech tygodni. Ruchy te mają się wykonywać kolejno rano i wieczór, w porządku w jakim rysunki są umieszczone, a po każdym ruchu należy głęboko odetchnąć trzy razy; w drugich trzech tygodniach sześć razy; nareszcie w ostatnich czasach po razy dziewięć.

wiem razie stałby się pijakiem, hańbą swego imienia, a dzieci byłyby żebrakami. Darowałem zaś ów kielich skąpcowi, aby go nauczyć, jak się płaci dobrem za złe, oraz żeby go skwitować za pewne miłosierdzie, które niegdyś sierocie okazał, aby się w przyszłości już o nic nie upominał. Wreszcie zabiłem przewodnika, bo ten chytry zdrajca miał dzisiejszéj nocy zamordować swego pana. A teraz ukórz się badaczu tego, co jest niezbadane, i pełnij wolą tylko Boga, którą ci w nauce swojéj objawić raczył."

O naczyniach kuchennych polewanych.

Naczynia gliniane polewane, zastępują fajans dla ubogich, z powodu swéj nizkiéj ceny. Są one bardzo użyteczne, a nawet niezbędne jako naczynia, w których się przyprawia wiele potraw, ale szkoda wielka, że ich użytek nie jest bez niebezpieczeństwa dla zdrowia, jak to niżéj zobaczemy. Niedokwasy miedzi i ołowiu wchodzą do składu polew używanych do pociągania tych naczyń, a to niedokwas miedzi w stosunku 3 na sto, a niedokwas ołowiu w ogromnéj proporcji, która się zmienia od 30 aż nawet do 60 na sto. Aby te niedokwasy miedzi i ołowiu utraciły swoje własności trujące, chociaż nie w ścisłem znaczeniu tego wyrażenia, ale w znaczeniu takiem, żeby używając tych naczyń nienarażało się na niebezpieczeństwo, potrzeba, aby te niedokwasy były kompletnie zabsorbowane, czyli zobojętnione przez krzemionkę tych naczyń. Ale aby ta przemiana zupełnie nastąpiła, potrzeba zużyć wiele opału przy wypalaniu tych glinianych polewanych naczyń. A niektórzy garncarze tak są oszczędni w tym względzie, że z powodu tego oszczędzania opału, pozostaje w wierzchniéj warstwie polewy, mniejsza lub większa ilość ołowiu lub miedzi nierozłożonych wcale. W takiejto postaci, niedokwasy te są łatwo rozpuszczalnemi, przez ciecze słone lub kwaśne, któremi zaprawiają się potrawy. Łatwo teraz zrozumieć można wszystko. Te polewane garnki i miski niedokładnie wypalone, i po oszukańsku niesumiennie sprzedawane, przedstawiają zatem istotne niebezpieczeństwo, o którem ostrzedz publiczność jest naszym obowiązkiem. To też, aby się uchronić od niebezpieczeństwa i aby się ochronić o ile można od niego, niektóre dobre gospodynie, nie używają pierwéj takich naczyń polewanych, aż w nie wprzód osolonéj dobrze serwatki lub wody octem zaprawnéj nie zagotują, a potem bez wylania przez 24 godzin w nich nie pozostawią. Przez takie to przezorne postępowanie, niedokwas ołowiu lub miedzi, który się znajduje wolnym w polewie, zostanie rozłożonym przez sól i kwas, i naczynie po dobrem wymyciu, może służyć bez niebezpieczeństwa, do przygotowania pewnych pokarmów. Pomimo tego jednak, naczynia polewane nie mogą służyć bez wyjątku, do przygotowania wszelkich gatunków potraw. I rzeczywiście jest zawsze niebezpiecznem, jakkolwiek wyrób ich będzie doskonały, przygotowywanie w nich pokarmów kwaśnych, jak naprzykład, szczawiu lub barszczu, a tembardziéj korniszonów; w takiem bowiem razie polewa ołowiana, będzie zbyt silnie zaatakowaną, przez dłuższe zetknięcie się z octem. Ileż to z tego powodu zdarzyło się i zdarza zatruć ołowiem! Od czegóż to pochodzą owe kolki, tak często zdarzające się, niby tak z niczego po zjedzeniu korniszonów, barszczu lub marynat?... Ileż to utraciło zdrowie, z powodu używania pokarmów przyrządzonych w podobnych naczyniach, a których to przypadłości, doktorzy przyczyny nie mogli odgadnąć. Jest to ważna kwestja, ponieważ ona tyczy się zachowania zdrowia publiczności naszéj, a którą to kwestję poruszyło teraz wiele pism francuzkich. Potrzebaby zachęcić chemików, do wynalezienia innych gatunków polew, łatwych do przyrządzania przez garncarzy, a nie przedstawiających nic dla zdrowia ludzi szkodliwego w sobie. Ale nim kwestja ta się roztrzygnie, możemy wszystkim, używającym tych naczyń polewanych, podać trzy następne przestrogi:

a) Strzedz się kupować garnki z zieloną lub żółtą polewą, a wybierać do użytku z polewą brunatną, jako mniéj szkodliwe.

b) Nie używać żadnego naczynia, jakiby nie był kolor polewy, bez poprzedniego wygotowania w nich cieczy słono-kwaśnéj, jakieśmy to wyżéj mówili.

c) Strzedz się zawsze sporządzać w tych naczyniach potraw kwaśnych, a tembardziéj takowe przechowywać w nich, ponieważ postępowanie takie, zawsze na zatrucie się narazić nas może.

W jednym z tomów pisma polskiego przemysłowego *Izys*, przed 1830 rokiem wychodzącego, były podane przepisy na przygotowanie rozmaitych polew, bez niedokwasów trujących. Niestety około 40 lat od owego czasu upłynęło, a żaden garncarz, ani pomyślał, aby użyć tych nowych sposobów. Używane naczynia z białéj blachy żelaznéj, są lepsze do gotowania, jak wszelkie polewane garnki. A przytem naczynia blaszane są trwałe, kiedy za te garnki gliniane, trzeba corocznie z powodu ich krótkiéj trwałości, wiele pieniędzy wyrzucać.

ROZMAITOŚCI.

— W jednem z pism warszawskich, czytamy następne ogłoszenie:" O mil dwie od Warszawy, we wsi i gminie Jabłonna, pożądany jest Nauczyciel Szkoły Elementarnéj, któremu *Zebranie* przeznaczyło pensji rocznéj złp. 600, mieszkanie, opał, i ogród; a zatem, ktoby z osób uzdatnionych życzył sobie przyjąć powyższy obowiązek, zechce się zgłosić wraz z dowodami, na mocy których, przez Wójta Gminy Jabłonna, Rządowi Gubernialnemu przedstawiony zostanie." Z radością zaznaczamy niniejsze ogłoszenie, jako fakt świadczący o dobréj i poczciwéj woli włościan naszych, którzy sami chętnie garną się do nauki, z grosza zapracowanego w pocie czoła, opłacając nauczyciela. Daj Boże, aby takich gmin jak najwięcéj było.

Ale kto wie, czyby nam dzisiaj nauczycieli do szkół elementarnych starczyło. Od czasu, jak Instytut nauczycieli w Radzyminie pod Warszawą zwinięty został, coraz to mniéj widać takich nauczycieli. Wprawdzie, są szkoły Powiatowe Pedagogiczne w Łęczycy, Koninie, Sandomierzu, Biały, i Marjampolu, lecz o ich działalności jeszcze nie słychać. A jednak, ileż to u nas młodzieży i starszych ludzi na próżniaczce czas trawi, naprzykrza się prośbami, powinowatym; żyje niemal z żebranego grosza wówczas, gdy posiadając stosowne wiadomości, trudno im znaleźć miejsce na nauczyciela. Utrzymanie nie zbytkowne: ale jest przeświadczenie, że się żyje z własnéj pracy, a nie z łaskawego chleba, że się nie zawadza nikomu, owszem, pożytek przynosi krajowi i braciom.

— Czytamy w Gaz. Rolniczéj ,,Początek dany przez Jana Dolfus w Mulhouse, względem urządzenia domów połogowych, dla kobiet z klassy wyrobniczéj, znalazł nawet na-

śladownictwo w różnych krajach Europy. Między innemi, zakład pod firmą: Wolff Schalphorst et Bruc, w Gladbach w Prusach, przyjął taką decyzję: Kobiety pracując stale w téj fabryce, na przypadek połogu, przez sześć tygodni po nim, będą mogły pozostać przy swem dziecku, poświęcając się mu wyłącznie, a nie zajmując się pracą. Pomimo to jednak, *odbiorą zwykłą zapłatę* w całkowitości, a to udzieloną w połowie przez fabrykę, a wdrugiéj połowie z funduszów kassy wzajemnéj pomocy, dla chorych robotników."

Jest to także przykład godny do naśladowania wszędzie.

— Zapowiadane od dość dawna odczyty naukowe rozpoczęły się nareszcie w salach Redutowych, w dniu 31 Marca r. b. Profesor Szkoły Głównéj Warszawskiéj, p. Białecki, obrał sobie za przedmiot mowy, rzecz w istocie bardzo ciekawą i ważną dla każdego narodu, mianowicie: „*o znaczeniu Uniwersytetów*." Wprawdzie publiczność, sądząc z tytułu odczytu, sądziła i miała prawo sądzić, że usłyszy coś, o wpływie uniwersytetów, czyli szkół Głównych po naszemu, na rozwój oświaty narodowéj, na rozszerzenie się cywilizacji, na urządzenie wewnętrznych społeczeństw, na ich uobyczajenie i tym podobne wpływy, znaczenie Uniwersytetów silnie uwydatniające. Wszelako p. Białecki, niewiele o tem wszystkiem powiedział, a natomiast rozszerzył się znamienicie nad wykazaniem, jakie były początki uniwersytetów w odległéj starożytności rzymskiéj i greckiéj. Piękny ustęp o mędrcach starożytnych, nauczających żywem słowem, tłumy ludu na przechadzkach, na targowiskach, w gajach świętych, pod cieniem rozłożystych drzew — podobał się powszechnie. Następnie szanowny profesor wykazał, że pierwszym uniwersytetem, była szkoła w Aleksandrji w Egipcie, gdzie istniała także słynna z wielkości i bogactwa bibljoteka, spalona, jak podanie niesie, przez jednego z Kalifów tureckich. W wiekach średnich, w wiekach, gdy zasady chrześcijańskie toczyły silną walkę, ze starym barbarzyńskim porządkiem, szkoły w ogóle zaniedbanemi były, i dopiero Arabowie, podbiwszy Hiszpanją, ówczesną Iberję, zaczęli zakładać liczne szkoły, które w krótkim czasie, zjednały sobie szeroką i słuszną sławę. Od Hiszpanji, mówca przechodził inne państwa Europy i wyliczył, w których mianowicie wiekach powstawały Uniwersytety we Francji, w Niemczech, w Anglji, we Włoszech, w Danji, w Rossji i w dawnéj Polsce, która jak wiadomo miała Uniwersytet w Krakowie, założony przez Kazimierza W., w r. 1364 a zreformowany przez Władysława Jagiełłę i dotychczas znany pod nazwą Jagiellońskiego, a także Akademiję w Chełmie, Zamościu i Wilnie. Daléj była mowa o urządzeniu uniwersytetów dawnych, szczególniéj w Bolonji we Włoszech i w Paryżu, o rektorach, dzisiejszych profesorach, radnych, pedelach, studentach, stopniach naukowych, o egzaminach i odbieraniu przysięgi od studentów zaszczyconych stopniem doktora, o uroczystościach towarzyszących odebraniu takiéj przysięgi i o wielu innych jeszcze ciekawych szczegółach. Widzimy więc, że każdy nauczyć się wiele może, uczęszczając na odczyty, a przytem uczyni jeszcze dobry uczynek, bo swą skromną opłatą, wpłynie na zaopatrzenie potrzeb biednych studentów, na rozszerzenie oświaty w kraju, na rozwój pomyślności ojczystéj, która wierzajcie zawsze i koniecznie na zdrowéj nauce i na czystéj moralności zasadzać się powinna. Pośpieszajcie więc tłumnie na odczyty; sala która pomieściła przeszło tysiąc słuchaczy, jeszcze drugie tyle pomieścić może; nie żałujcie wdowiego grosza, bo ten grosz stokrotne wyda plony i dla was i dla potomków waszych i dla kraju całego.



Co czynisz niewdzięczny krzyknałem,— (str. 118, szp 2).
(Rysował Pillati —wyciął na drzewie Szymborski).

— Mówiąc o odczytach, zwrócić nam jeszcze potrzeba uwagę na wielki ścisk przy wychodzeniu z sali, któregoby można uniknąć przez urządzenie drugiego wchodu. Nadto dość znaczną opłatę 2 złote od wejścia, która, dla chcącego być na wszystkich odczytach, stanowić może pewną różnicę, możnaby zmniejszyć np. o połowę, mianowicie od biletów, dla osób zajmujących galerję.

— Podług obliczeń, rozumie się nie bardzo ścisłych, na całéj kuli ziemskiéj znajduje się żyjących ludzi okrąglutenko cały miljard, czyli 1000 miljonów, co da liczbę 1,000,000,000; Ludzie ci mówią 3,064 językami i wyznają 1,100 religji. Z owego miljarda, umiera rocznie 33,000,000, co uczyni na dzień po 91,000 — na godzinę 3,730, a na minutę aż 60, czyli na sekundę 1. Rodzi się zaś więcéj niż umiera, gdyż na rok 41,500,000, co znowu wyniesie na dzień 113,698 — na godzinę 4,787, na minutę 79.

— Mieszczanie nasi, szczególniéj mało miasteczkowi, mają siebie, za coś znacznie znakomitszego, od każdego włościanina. Lada pijaczyna rzemieślnik, byle z miasta, traktuje zawsze z góry wieśniaka, chociaż ten mógłby go kupić, jak to mówią, z bebechami. Otóż razu jednego szedł gościńcem czeladnik szewcki, z węzełkiem pod pachą—tąż samą drogą i tąż samą stroną, szedł także zamożny włościanin. Szewc gadatywus, nuż z nim w rozprawę. Ale widać osoba pana czeladnika, nie wielkie wzbudzała zaufanie, bo wieśniak nie dowierzając mu, odpowiadał półgębkiem. Czeladnikowi zaś wydawało się, że znakomita powaga bijąca z jego twarzy, trwożyła wieśniaka; dla zachęcenia go więc, z miną wielce protekcjonalną rzecze: „mój kochany, nie uważaj, że ja szewc, mów ze mną jak z prostym." Lecz wieśniak roześmiał się tylko i mruknął: „patrzno go, anim wiedział, co to za jasny łaskawca."

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 31 Marca (12 Kwietnia) 1865 r.